



# I Krokodyle łyzy

Padał wtedy deszcz, zupełnie jak w filmie. Gdy obity przez los kinowy bohater dociera do miejsca, w którym musi się zmierzyć ze swoim największym przeciwnikiem, wykazać sprytem, szybkością reakcji i sprawnością fizyczną, wtedy często leje jak z cebra. Tak było w *Blade Runnerze*, kiedy Harrison Ford dostawał łupnia od Rutgera Hauera, w *Matrixie*, gdy Neo lał się z agentem Smithem. A Indiana Jones w *Ostatniej krucjacie*? Tam to już był pojedynek na otwartym morzu podczas szalejącego sztormu. Ja nie miałam aż tak pod górkę, ale i tak byłam przemoczona do suchej nitki. Biegłam ścieżką, po której razem z wodą płynęło lepkie błoto. Przy każdym kroku chlupotało mi w butach, mimo że miałam na sobie wysokie kowbojki. Skórzana kurtka przemokła na wylot i teraz zdawała się ważyć tyle co rycerska zbroja. Serce waliło mi jak oszalałe. Już nawet nie oglądałam się za plecy, w obawie, że znowu zobaczę przerażającą maskę, czarną z krwistoczerwonym wzorem. Kim był? O co mu chodziło? Zamaskowany koleś, spotkany w burzową noc na starym cmentarzu, w obcym kraju i nieznanym mieście.

Olbrzymie krople spadały na moją głowę i na cmentarne drzewa, pioruny waliły jak kamienie w blachę, a do tego w uszach bębniło mi tętno. Było tak głośno, że nie miałam szans usłyszeć, czy wciąż za mną biegnie. W mroku widziałam jedynie wydzieloną wśród krzaków ścieżkę. Tylko wtedy, gdy błyskało, pod nogami pojawiał się rwący strumień deszczówki.

Woda sięgała po kostki, choć czasami stopa zanurzała się głębiej. Tylko dzięki wysokim cholewkom nie skręciłam nogi. Ścieżka skręciła, a ja razem z nią. Za plecami usłyszałam głośniejszy plusk i byłam święcie przekonana, że prześladowca jest tuż za mną. Nie miałam czasu odwracać się i sprawdzać jak daleko. W każdej chwili mógł złapać mnie za kurtkę i pociągnąć do tyłu. Nie złapał, bo biegłam dalej. Kolejny zakręt, kolejna głęboka kałuża. Na dnie coś twardego, pewnie fragment jakiegoś nagrobka. Obsunęła mi się stopa i runęłam w lewo. Wylądowałam na pochylonej płycie. Jeśli biegł za mną, nie było już sensu wracać na ścieżkę. Musiałam przedzierać się przez chaszczce porastające starą część nekropolii. Już nie czułam się jak bohaterka filmu przygodowego. To nawet nie była sensacja, a prawdziwy horror. Na wspomnienie zamaskowanej twarzy przed oczami przelatowały mi dziesiątki powracających z zaświatów morderców, którzy w setkach slasherów prześladowają dziewczyny takie jak ja. Zbyt ciekawskie, szukające przygód, a znajdujące tylko obłędny strach. Byłam teraz jedną z nich. Czułam, że muszę biec. Do przodu pchało mnie nieustające pragnienie przeżycia, napędzane przez strach przed nieznanym. Oczywiście swoje robiło też upiorne otoczenie i fatalne warunki pogodowe.

Już nie żałowałam założenia skórzanej kurtki. Grube rękawy osłaniały mnie przed kłującymi krzewami jeżyn, niestety ich kolce czepiały się spodni i orały dłonie. Mimo bólu brnęłam do przodu. Nagle błysnęło, zaraz potem rozległ się grzmot. Musiało rąbnąć gdzieś blisko. Spojrzałam w ciemne niebo i... w tym samym momencie zahaczyłam stopą o kłujące pnącze. Druga noga wpadła w poślizg. Leciałam do przodu. Znowu błysnęło i w świetle pioruna ujrzałam głęboką dziurę w ziemi. Nie miałam wyjścia, mogłam albo ześlizgnąć się w dół, albo wykonać wielki skok na drugą stronę. Zdecydowałam się na drugą opcję. Skoczyłam w ostatniej chwili. Udało się! Wylądowałam lewą stopą na przeciwnym brzegu. Przechyliłam się do przodu, ale wilgotna ziemia pod butem zaczęła się obsuwać. Próbowałam złapać gałąź rosnącego przede mną krzewu, ale była za daleko. Straciłam grunt pod nogami. Zakręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale czułam, że stopy są gdzieś nade mną. Że spadałam, dotarło do mnie dopiero w chwili upadku.

Leżałam na plecach, ciężko dysząc. Oszołomiona, zapomniałam o typie biegnącym za mną przez chaszczce pomiędzy setkami wiekowych

nagrobków. Po kilkunastu oddechach doszła do mnie najbardziej przerażająca myśl. Skoro na cmentarzu wpadłam do dołu, to właśnie leżę w grobie. Dłonie odruchowo, nie czekając na płynące z mózgu polecenia, rzuciły się do otaczających mnie ścian, palce wczepiły się w ziemię. Czułam, jak wilgotny brud wbija mi się pod paznokcie. Prawą ręką złapałam jakiś korzeń. Ciągnąc za niego, próbowałam się podnieść. Nic z tego. Stopa trafiła na jakieś zbutwiałe drewno i zapadła się gdzieś poniżej poziomu, na którym leżałam. Kolejna koszmarna myśl: „za plecami mam trumnę”. Zaparłam się, jedną ręką ciągnęłam korzeń, a łokieć drugiej oparłam na drewnianym wieku. Noga też znalazła punkt zaczepienia, ale wciąż nie mogłam się podnieść. Coś mnie trzymało, unieruchamiało na samym dnie zalewanego przez deszcz grobu. Włożyłam sporo wysiłku w to, by móc znów stanąć na nogach. Miałam siłę, bo strach wpompował do serca sporo adrenaliny, ale nie mogłam się podnieść. Jakaś moc trzymała mnie przy ziemi. Przeszło mi przez myśl, że to ten zmarły pode mną nie chce mnie puścić. Na niebie błysnęło, raz, drugi. Wtedy go zobaczyłam. Na samym brzegu grobu, tuż nade mną. Padł na kolana i pochylił się, wyciągając do mnie lśniącą od wody dłoń w skórzanej rękawiczce. W tamtej chwili widziałam diabelską łapę odlaną z żywej smoły. Brakowało tylko zapachu siarki i unoszącej się nad nim pary. Leżałam między rozpadającą się trumną, a kolesiem rodem z horroru i chciałam już tylko jednego. Zniknąć, przenieść się gdzie indziej. Do Józka na jakąś zieloną łąkę, do domu dziadków, do wkurzonego ojca, gdziekolwiek, byle nie tu. Znowu błysk. Nie, tym razem więcej, dłużej, snop światła. Zamaskowany zniknął, a to przecież ja chciałam się teleportować do bezpiecznego miejsca. Przez grzmoty i nieustający szum deszczu usłyszałam znajomy ludzki głos. Światło latarki omiotło ścianę pokrytą żyłkami lśniących od wody korzeni. Zrobiło mi się słabo i tak błogo. Po tym całym strachu chciałam czuć już tylko to, błogi spokój. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w ciemność.



Nie, to zły moment na rozpoczęcie opowieści. Przenieśmy się w czasie kilka dni wstecz, a w przestrzeni jakieś pięćset kilometrów na północny zachód.

Do Warszawy, konkretnie na Pragę. Był początek sierpnia i dla odmiany piękna, słoneczna pogoda. Leżałam na trawie pośrodku toru kolarskiego Nowe Dynasy. Pełen luz, wiecie – źdźbło trawy między zębami, ręce za głową i noga zarzucona na nogę. Zielona murawa pode mną, niebo błękitne nad głową.

Te Dynasy wcale nie były takie nowe, bo wybudowano je w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim. Gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęły popadać w ruinę, ale ojciec opowiadał, że jako dzieciak widział jeszcze trenujących tu kolarzy. Właśnie on stał za wyborem tego miejsca na nasze popołudniowe leżakowanie, widział nas z okna kamienicy na Chodakowskiej. Staruszek stracił wycucie i z fajnego ojca, który akceptuje miłość swojej pociechy do młodego rodaka z Litwy, zamienił się w cerbera strzegącego skarbu przed brudnymi łapami nastoletniego potwora. Mój ukochany gościł w Warszawie już od tygodnia i na początku wszystko układało się jak w bajce. Wyciągnęłam z piwnicy swojego pokracznego składaka, a Józkowi, bez pytania o zgodę, dałam ojcowską kolarzówkę. Zabytek, pamiętający sukcesy Ryszarda Szurkowskiego. Na dwóch kółkach zjeździliśmy po stolicy z kilkadziesiąt kilometrów. Wreszcie mogłam mu opowiedzieć o swoim mieście. Pokazałam bazar Różyckiego, ujęcie wody Gruba Kaśka, nadwiślańskie plaże, Park Skaryszewski, wszystkie miejsca, które zapamiętał z serialu *Stawiam na Tolka Banana* i od małego chciał strasznie zobaczyć. Właśnie w parku, nad Jeziorkiem Kamionkowskim, spotkaliśmy się z moimi znajomymi i przez kilka godzin opowiadaliśmy o naszym poznaniu i wileńskich przygodach. Cieszyły mnie wieczorne powroty przez miasto, podczas których nigdzie się nam nie spieszyło. Rozgadani, całe kwartały szliśmy na piechotę, nie przeszkadzało nam, że prowadzimy rowery. Sielanka, do momentu, w którym staruszek zobaczył, jak się całujemy. To była miła chwila na korytarzu, tuż przed wejściem do mieszkania. Kolejny przyjemny punkt fajnie spędzonego dnia. Nagle otworzyły się drzwi i ojciec ujrzał mnie w objęciach Józka. Jakby nie wiedział, że ze sobą chodzimy. Jak gdyby sam nigdy nie miał szesnastu lat. Zresztą byłam przekonana, że już wiele razy widział nas w takiej sytuacji. A może wcześniej odwracał wzrok? W każdym razie wtedy, na korytarzu, zrobił groźną minę i z podniesionym głosem wdarł się między nas:

– Co tu się dzieje?!

Co odpowiedzieć na tak zadane pytanie? Może jak w starym romansie:

tato, my się kochamy? Albo tak jak Irmina, matka Józka, wytłumaczyła to później ojcu w rozmowie telefonicznej: w nich zwyczajnie buzują hormony. Obie odpowiedzi są pewnie prawidłowe. Ale ja zdecydowałam się obrać trzecią drogę i zirytowana przerwany pocałunkiem jęknęłam tylko:

– Ojciec, weź się.

Oniemiał. Nie odzywał się do mnie przez godzinę, a potem zaczął ustalać nowe zasady. Józek, który dotychczas spał w przechodnim salonie, został przeniesiony do sypialni ojca. Mój rodziciel rozłożył się na kanapie, tak, żeby mieć na oku drzwi do naszych pokoi. Z kochanego ojczulka, który świetnie się dogadywał z wybrankiem córki – co czasem doprowadzało mnie do pasji, bo godzinami gderali o historii Jagiellonów – zamienił się w zrzędliwego starca. Nie pasowało mu, że wychodzimy na basen, nagle odkrył, że mój dwuczęściowy kostium za dużo odsłania. Chciał z nami iść do kina i do tego zmienić repertuar na kreskówkę. W planie mieliśmy wyjście do Iluzjonu, na *Dirty Dancing*. Kategorycznie się nie zgodził. Jako argument podał tylko to, że w jego czasach film nazywał się *Wirujący seks*. Jaka zrobił minę, jak się zaczerwienił, kiedy nagle odkrył, że w obecności swojej nastoletniej córki użył słowa na „s”. Natychmiast zmienił temat i tak nas zmanipulował, że wyładowaliśmy w teatrze. Zaserwował nam dwie godziny Gogola i do tego rozdzielił, siadając pośrodku. Przez cały spektakl rżał jak dziki koń, a potem nas strofował, pytając, dlaczego się nie śmiejemy. Zaczęłam się zastanawiać, kim jest ten człowiek.

Minęło kilka dni pod wzmożoną obserwacją ojca. Każde wyjście z domu musiałam z nim ustalać. Ledwo zgodził się na naszą sjęstę na trawie pośrodku praskiego welodromu. No, w każdym razie wyrwaliśmy się na zewnątrz bez niego. Przesunęłam się i położyłam głowę na piersi Józka, a on zaczął zerkać w stronę naszej kamienicy. Oboje czuliśmy na sobie ojcowskie spojrzenie, tyle że ja miałam to gdzieś.

– Uspokój się, nawet jak widzi, to tu nie przyjdzie, musiałby przeskoczyć ogrodzenie. To nielegalne, a on musi dawać młodzieży przykład, prawa nie złamie. – Zapomniałam dodać, że na Nowe Dynasy od kilku lat obowiązywał zakaz wstępu, ale terenu pilnowała tylko nieistniejąca ochrona wspierana przez siatkowe ogrodzenie.

– Łatwo ci mówić, jak się wkurzy, grozi mi deportacja, zesłanie do Wilna...

– To pojedę za tobą.

– Już widzę, jak cię puści.

– A co on ma do gadania, pojedę i już. Przecież wiesz, że potrafię się urwać

starszyźnie i sama o siebie zadbać? – Przypomniałam naszą lipcową przygodę, podczas której ulotniłam się jego matce i sama ruszyłam na poszukiwania berła Świętego Kazimierza. – Tak, urwałś się i zaraz mało nie skręciłaś karku, wpadając do starej piwnicy z podwójnym agentem, a potem zawodowy kiler trzymał cię na muszce...

– Coś mi się zdaje, że bardziej ci leży na wątrobie ta noc u wampirycznego studenta. – Odsunęłam się od jego piersi i usiadłam, robiąc gniewną minę.

– Alina, przecież wiesz, że ci ufam. Fakt, jak się dowiedziałem, byłem trochę... niespokojny, ale przecież to był zdrajca, a ty byś... znaczy jesteśmy razem i wiem...

– Spokojnie. – Nie mogłam już tłumić śmiechu. Szturchnęłam go w ramię. – Nabijam się.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, potem przyciągnął do siebie. Ale, zanim zdążył cokolwiek zrobić, w jego kieszeni odezwał się telefon.

– Nie, no, jest niemożliwy! – wyjęczałam. – Zostawiłam telefon w domu, żeby nam nie truł, to do ciebie dzwoni.

Wyciągając smartfona, zerknął w stronę naszych okien. Też spojrzałam, oczyma wyobraźni widząc stojącego w oknie ojca, który jedną ręką trzyma słuchawkę przy uchu, a drugą nam grozi. Zmrużyłam oczy, policzyłam piętra, w naszym oknie nikogo nie było.

– To nie on. – Józek wpatrywał się w mały ekran, nie uciszając melodii, którą bez trudu rozpoznałam jako motyw przewodni z *Powrotu do przyszłości*. – Mój drużynowy dzwoni.

– To odbierz!

Józek miał czasami mundurowe nawyki. Podniósł się, wyprostował, niemal stając na baczność i dopiero wtedy odebrał telefon od swojego harcerskiego przełożonego. Nie wiem, jaki był temat rozmowy, bo Józek niewiele mówił. Co jakiś czas rzucał tylko „tak”, „wiem”, „oczywiście” i „jestem zainteresowany”. Dopiero pod koniec drużynowy pozwolił Józкови zabrać głos.

– Czy może do nas dołączyć cywil? – Zerknął na mnie i się uśmiechnął, jednocześnie słuchając odpowiedzi rozmówcy. – Z Polski... Czy ma paszport? – Nawet nie pytając, o co chodzi, zaczęłam przytakiwać. – Tak, ma! Rozumiem, wiza nie trzeba... Tak jest! Czuwaj! – Józek schował komórkę do kieszeni, a na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

– No, co? Mów! Co się dzieje?!

– Moja droga... – Teatralnie padł na kolano i złapał mnie za dłoń. Gdyby ojciec to wiedział, ciśnienie by mu ostro skoczyło. – ...Zgodzisz się ruszyć ze mną na odległą wyprawę?

– Kurczę, Józek, mów, gdzie jedziemy! – Wyrwałam dłoń z uścisku i stanęłam nad nim. Już zaczynała mnie wkurzać ta szopka. Nie mogłam wytrzymać na myśl o nowej przygodzie.

– Moja drużyna współpracuje z kołem studentów historii uniwersytetu wileńskiego. Oni czasami organizują wypadki naukowe, na które zapraszają kilku starszych harcerzy. Byłam na liście rezerwowej i wypadły dwie osoby...

– Józek, konkretnie, gdzie?

– Na Ukrainę. Startujemy za trzy dni we Lwowie.

– Józek! Przygoda, nareszcie! – Rzuciłam się na niego z taką mocą, że runął na plecy. Jęknął, bo po upadku przygniótł go mój ciężar. Usiadłam na nim okrakiem, dłonie oparłam o jego ramiona. – Już nie mogę się doczekać.

– Przecież dopiero co wróciliśmy z Wilna...

– To było kilka tygodni temu. Zaraz wrzesień, skończą się wakacje, wróci szkoła, normalność. Pojedziesz do domu i... – Na samą myśl o rozstaniu napływały mi do oczu łzy. – A tak razem przeżyjemy kolejną wielką przygodę! Józek! Będzie wspaniale. Jak ja cię kocham...

Zatkało mnie. Józka też. Już raz mu to powiedziałam, przez telefon, i zaraz się rozłączyłam. A potem nie wróciliśmy do tematu. Patrzył mi prosto w oczy. Przełknął ślinę i trzęsącym się głosem wydukał: – Ja ciebie też... kocham... bardzo. – Wiedziałam o tym, ale nigdy wcześniej nie usłyszałam tego z jego ust. Słyszałam, że mówienie o uczuciach większości mężczyzn nie przychodzi zbyt łatwo, więc zdecydowałam się ratować nastrój, cmokając go prosto w usta. Potem znowu się wyprostowałam.

– Skoro związek został przypieczętowany możemy przejść do naszych największych problemów.

– Jakich?

– Mój ojciec...

– Alina, wiesz, że ja cię jeszcze nie poprosiłem o rękę? Jesteśmy za młodzi. Taka decyzja wymaga błogosławieństwa rodziców. – Robił sobie żarty, naśladowując głos mojego ojca.

– Wyjazd! Ojciec musi się zgodzić na mój wyjazd.

– No, fakt! – Zaczął drapać się po głowie. – Atmosfera nam nie sprzyja. Jesteś praktycznie zniewolona.

– On się boi, że książę z Wileńszczyzny zabierze jego małą księżniczkę. Umknęły mu ze dwa lata mojego życia. Nic nie kuma.

– No, tam będą dorośli opiekunowie...

– To nie ma znaczenia, ty tam będziesz, a on wie, że naszej miłości nic nie powstrzyma. – Tym razem ja zaczęłam udawać grę w cikliwym melodramacie. Schowałam twarz w dłoniach, tak jakbym miała za chwilę zanieść się płaczem.

– Alina... – Józek dotknął mojego ramienia, a potem aż podskoczył, kiedy energicznie odsłoniłam twarz. Pewnie spodziewał się zobaczyć poorane łzami oblicze, ale ja miałam już minę podstępного spiskowca.

– Mam pomysł. Będziesz musiał mi trochę pomóc, ale wiem, jak szybko załatwić nam ten wyjazd.

Natychmiast przeszłam do realizacji planu. Jego powodzenie wymagało przeprowadzenia działań pozornie nieskutecznych, groźących wręcz pogrzebaniem całej akcji. Natychmiast ruszyłam do ojca. Józkowi kazałam zostać na ławce przed domem, żeby swoim widokiem nie rozsierdził mojego wkurzonego rodziciela. Miał jedno małe zadanie do wykonania, opowiedzenie własnej matce o naszej sytuacji przez telefon. Rozmowę miał przeprowadzić, zachwalając wpływ wyprawy na Ukrainę na rozwój intelektualny i psychofizyczny naszych młodych organizmów. W komunikacie do matki miał też delikatnie zasugerować, że siedzenie w Warszawie zaczyna nas nudzić i zaraz zrobimy coś głupiego. Józek łąził przed budynkiem ze dwadzieścia minut, po których wyszłam na zewnątrz pokazując mu zaczerwienione oczy i jeszcze mokre od łez policzki. Natychmiast ruszył ukoić mój ból, pozwoliłam mu wziąć się w ramiona.

– Nie zgodził się?

– Oczywiście, że nie – odparłam stanowczym tonem. Brak smutku w moim głosie wyraźnie go zaskoczył. Odsunął mnie i spojrzał mi głęboko w oczy. Uśmiechałam się. – Jako odpowiedzialny stróż, a tak się teraz postrzega, nie mógł się zgodzić. Zadzwońiłeś do swojej mamy?

– Tak! Powinni już ze sobą rozmawiać.

– Super! To zajmie im najmniej pół godziny. Mamy czas, żeby dojechać do śródmieścia.



- Po co do śródmieścia?
- Żeby zrealizować kolejny punkt planu.

Dokładnie dwadzieścia pięć minut później staliśmy na podwórku pod kamienicą moich dziadków.

- Wiesz co masz robić?
- Rozmawiam ze Sławem, znaczy się twoim dziadkiem... Przedstawiam mu całą sprawę, bez ściemniania. Po prostu jest przygoda i chcemy ją przeżyć razem.

- Dokładnie, on zrozumie i doceni szczerść. Zapunktowałeś u niego, kiedy się wydało, że wędkujesz i sam robisz spławiki. Drogę do jego serca masz otwartą. - Mówiąc, tarłam dłońmi oczy. Potem spojrzałam na niego.

- Jak wyglądam?

- Jakbyś ryczała pół nocy.
- Przedobrzyłam, muszę oszczędniej dawkować dramatyzm.

Weszliśmy na górę. Mnie przywitało merdanie, a Józka tylko zimny nos Wiewióra. Pies dziadków dosyć długo przyzwyczajał się do nowych bywalców. Mój chłopak był u niego dopiero na okresie próbnym, gdzieś pomiędzy warczeniem, a nieufnym śledzeniem każdego ruchu. Ruszyłam do małego pokoju, w którym siedziała babcia. Józek powędrował do kuchni, gdzie stacjonował dziadek. Wiewiór pożałował, że nie może się rozdzielić, wizytom gości towarzyszyło zwykle spożywanie znalezionych na podłodze okruszków ze smakołyków. Starał się wciągać je zaraz po upadku. Teraz musiał wybierać czy kontrolować pokój czy kuchnię. W decyzji pomogło zamknięcie przeze mnie drzwi. Pobieglę za Józkiem, udając, że sprawy bezpieczeństwa domu są dla niego najważniejsze. Kwadrans zajęło mi opowiedzenie babci swojej smutnej historii, w której okrutny ojciec staje na drodze niewinnej przecież miłości. Tyran uniemożliwia młodej odpowiedzialnej dziewczynie, która ma przecież wakacje, wyruszenie w niezwykle interesującą i zapewne rozwijającą podróż po Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej. Wyprawę tropem śladów polskiego dziedzictwa kulturalnego, tropem własnych przodków. Tutaj pozwoliłam babci wrzucić trzy grosze i wspomnieć swoją własną matkę urodzoną przecież we Lwowie. W tym samym czasie Józek nawijał Sławowi o fajnej wycieczce po kresowej Galicji. Wyprawie z grupą historyków, którzy opowiadają fascynujące, czasem zabawne, a czasem przerażające historie o przeszłości Lwowa, Drohobycza, Stanisławowa i kilku innych niezwykle miejsc. Wyszedłam z pokoju babci z miną

zbitego psa, lekko pociągając nosem. Złapałam Józka za rękę i skierowaliśmy się do drzwi. Rzuciłam do dziadka smutne: – Cześć! – Odpowiedział, puszcżając do mnie oko. Spojrzałam, co robi babcia, stała bokiem do nas i już wybierała numer telefonu ojca. Spokojna, że nie widzi, uśmiechnęłam się do Sława i też puściłam oko.

– Załatwione! – Zatrzymałam Józka na klatce schodowej i cmoknęłam w usta.  
– Teraz już sprawy same nabiorą rozpędu, prowadząc nas prosto do Lwowa.

– Najpierw do Lublina.

– No przecież wiem, że jedzie się przez Lublin.

– Nie, musimy po drodze wpaść do biblioteki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Dostałam SMS od drużynowego. Skoro jedziemy z Warszawy, to opiekun naukowy wyprawy prosił, żebyśmy zeskanowali jeden dokument, który ma biblioteka w Lublinie.

– Super, od razu przygoda. Wiekowa biblioteka, grzebanie w manuskryptach...

– Raczej inkunabułach.

– Jakich bułach?

– Inkunabułach, to pierwsze starodruki, wydane do końca XVI wieku.

– Właśnie za to cię kocham.

– Za co? – zapytał, odrobinę spanikowany Józek.

– Za to, że wiesz takie rzeczy.

Wyraźnie ucieszyły go moje słowa.

– A teraz zabiorę cię na najlepsze lody w stolicy.

Kiedy na placu Zbawiciela pochłaniałam podwójną porcję słonego karmelu, a Józek rozkoszował się sorbetem malinowym uzupełnionym gałką pistacjowych, zadzwonił mój telefon.

– Jedziesz! – Ojciec wygłosił wyrok, z którego wyraźnie nie był zadowolony.  
– Gratuluję sprawnie przeprowadzonej akcji, choć uważam, że zaangażowanie babci było ciosem poniżej pasa.

– Przypomniała ci, co robiłeś, kiedy byłeś w moim wieku?

– Porozmawiamy przy kolacji. Niech Józek kupi gruby notes.

– Będziesz dyktował przepisy?

– Nie przeginaj. Czeka was ostre szkolenie z ojcowskich zasad zachowania na wyprawach naukowych. A przy śniadaniu odpytam Józka szczególnie dokładnie.